

Tomasz Sobieraj

CHORE DZIECKO EUROPY

druga odpowiedź apostołom nieudolności

Gdy przyglądam się poczynaniom naszej krytyki artystycznej, szczególnie literackiej, przypomina mi się pewna historia.

Kilka lat temu na ścianie jednego z łódzkich bloków ukazała się Matka Boska. Tłumy wiernych ściągały, żeby ujrzeć Królową Polski i złożyć jej pokłon. Mówiono o tym niezwykłym, cudownym zjawisku w mediach, na ulicach, w domach. Euforia ludu wzrastała z dnia na dzień. Duchowni w czarnych sukienkach krzatali się dyskretnie dokoła budynku, podobnie jak sprzedawcy obwarzanków, świętych obrazków i różańców. Po jakimś czasie wybrałem się i ja w te obdarzone łaską okolice, bo chociaż jestem przyrodnikiem, to nie wykluczam istnienia zjawisk nadprzyrodzonych pomny tego, że i fizycy stają w obliczu zagadek trudnych do rozwiązania za pomocą rozumu.

Wysiadłem z autobusu i poszedłem tam, gdzie gromadził się tłum – falujący, rozmodlony, niemal w ekstazie. Jedni tylko chylili czoła, drudzy stali w półzgięciu, niektórzy klęczeli przed żółtą ścianą z numerem bloku i otworami wentylacyjnymi, w których przysiadły zdumione gołębie. Panowała atmosfera powagi, skupienia i oczekiwania. Jednak co jakiś czas masa ludzka ożywiała się, kołysała i przebiegały przez nią elektryzujące słowa: „Patrz! Jest! Widzisz! Najświętsza Panienska! Królowa Nasza! Pani Nasza! Módlmy się!” Stałem pomiędzy innymi, z zadartą głową, pełen dobrej woli, ba, nawet prawdziwej wiary w Najwyższą Istotę. Czekałem na widzenie, na znak, najmniejszy chociaż gest. I mimo że wyteżałem wzrok, kierowałem go tam gdzie inni, niczego nie zauważyłem, poza lizajowatym zaciekiem i zapaskudzoną przez gołębie elewacją. Zdziwiony, że nie dostrzegam tego, co wszyscy, zacząłem się życzliwie dopytywać rumianych kapłanów i osób stojących obok, czy naprawdę coś widzą i jeśli tak, to gdzie, w którym miejscu tej ściany, niech mi w swej bezkresnej dobroci wskażą, bym miał dowód i zaznał łaski poznania. Patrzyli na mnie najpierw ze zdziwieniem, później z coraz większą niechęcią, na koniec przybrali właściwy wszystkim fanatykom zacięty wyraz twarzy. Ich oczy zrobiły się złe. Poczulem ziejącą w moją stronę nienawiść i odrazę. Jeszcze kilka głośno wyrażonych wątpliwości z mojej strony, i byłbym się przekonał, czy istnieje życie po śmierci. Ale zadziałał instynkt samozachowawczy – odwróciłem się i odszedłem. Do katedry.

Ich było więcej. Oni widzieli, a ja nie. Tylko czy większość ma rację? Logika mówi, że nie, historia uczy, że nie, życie na co dzień dowodzi, że nie.

Życie też uczy, że nie warto dyskutować z ludźmi, którzy nie mają własnego zdania.

Czasem jednak trzeba przełamać niechęć i lenistwo i napisać kilka słów, szczególnie gdy sprawa zatacza coraz szersze kręgi. Mam na myśli ogólny środowiskowy lament, który rozległ się po mojej z Janem Siwmiem rozmowie o tak zwanej twórczości Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego. Podsumowaniem tych histerycznych spazmów jest komentarz Jana Z. Brudnickiego, zamieszczony w pierwszym numerze kwartalnika *InterMosty* i w listopadowej *Krytyce Literackiej*.

To ładnie, że pan Brudnicki ujął się za słabszym kolegą i wystąpił w obronie jego dzieła. Jednak wzruszający tekst krytyka o ciężkim życiu i zasługach E. Tkaczyszyna-Dyckiego pachnie naiwną partyjną agitką z czasów gomułkowskich, a co najmniej przypomina głos aktywisty z zebrania zakładowego kolektynu partii w fabryce wieszaków – jest równie niemerytoryczny, alogiczny i niczego nie wnosi, poza jeszcze głębszym przekonaniem czytelnika, że o powodzeniu żyjącego twórcy decydują znajomości. Nie jest to żadna nowina, chociaż za każdym razem wywołuje

niesmak, jak zjedzony z jabłkiem robak.

Rozpoznanie prawdziwego, do tego żyjącego talentu, czy nawet więcej – geniuszu, w polskich warunkach jest niemożliwe. Wymagałoby to od krytyka rzetelnej pracy, odwagi cywilnej, niezależnej myśli, wiedzy i niechęci do zakrapianych wodą bankietów, a to, jak wiemy, cechy zasadniczo rzadko tutaj spotykane. Dlatego polski krytyk mówi, a pewnie nawet myśli to, co mu zostało przez kolegów i autorów wgrane, a właściwie wlane, jest jedynie białkową maszyną do powielania bzdur i kłamstw, które, zgodnie z teorią doktora Goebbelsa, powtórzone sto razy stają się prawdą. Na szczęście nie prawdą uniwersalną, ogólnym prawem, tylko prawdą polską, lokalnym prawem zadupia, jak rozporządzenie sołtysa. Oczywiście od tej smutnej reguły zawsze jest wyjątek, jakieś brzydkie kaczątko, które czasem zamieni się w łabędzia, bywa, że i w orła, ale to przypadki rzadkie – jak wszystko, co dobre. W statystyce takie skrajne wartości się odrzuca, żeby nie zaciemniały obrazu zbioru, i podobnie odrzuca się je w krytyce, która lubi, żeby stado kwakało jednym głosem.

Typowe cechy polskiej krytyki widoczne po zbadaniu jej populacji na przestrzeni ostatnich dwóch wieków, to schyłanie karku przed nadmuchanymi autorytetami, tchórzostwo, pańszczyźniana mentalność, lokajstwo, niesamodzielność intelektualna, brak logicznych i merytorycznych argumentów oraz ścisłych kryteriów. Ostatnimi laty do tej listy dołączyło jeszcze zwykłe nieuctwo. Przez taką krytykę i wynoszonych przez nią twórców tkwiliśmy i tkwimy w prowincjonalnym grajdole, stanowiąc pośmiewisko dla kulturalnego świata. Przez taką krytykę i politykę antykulturalną państwa, nasza sztuka i literatura nie ma pięknej, mądrej twarzy, delikatnych rąk i zgrabnych nóg, tylko swojską gębę, grube łapy i krzywe kulosy (dygresja: witkacowski cham dobrał się nawet do Szopena – na plakatach jakiś bęcwał ubrał go w dres!). Wyglądamy jak chore, opóźnione w rozwoju dziecko Europy. Tym bardziej, w tym zalewie barbarzyństwa, dziwię się panu Brudnickiemu, że broni literatury zaściankowej, do tego ewidentnie prymitywnej, bez śladu ducha i myśli. A podobno jest on znawcą twórczości i życia Juliusza Słowackiego. No nie wiem, jakoś mi to nie pasuje, widzę tutaj ewidentną logiczną sprzeczność. Ba, mam nawet przecucie, że *Beniowskiego* to pan krytyk nie czytał, tudzież paru innych dzieł autora doktryny genezyjskiej. Albo też czytał bez zrozumienia, co nie wydaje się nieprawdopodobne.

Stwierdzenie krytyka, że „Dyckiego ogłoszono na salonach nowym trubadurem, jak niegdyś Stachura, wcześniej Norwid, Leśmian, Czechowicz – porzucających dom, zdających się na lęk samotności, wybierających psychiczną samotność, włóczęgę”, nie dość, że gramatycznie niepoprawne, to zakrawa na śmieszność – bynajmniej nie tylko dlatego, że w tych salonach słowa, która wypadła z gumofilców wala się po klepisku udającym parkiet, ale przede wszystkim z powodu zestawienia nazwisk (zgoda jest tylko na Stachurę). Miejcież umiar, wy tam, na salonach, uczcie się, nie wypisujcie bzdur. Przecież, jak mówią nie bez racji Rosjanie „słowa drukowanego siekierą nie wyrąbiesz”. Ono zostaje i daje świadectwo. O was.

Moje poglądy na sztukę nie stanowią tajemnicy. Wielokrotnie o nich pisałem, znajdują wyraz w mojej twórczości. Przypomnę jednak główną ideę swojego programu artystycznego: sztuka jest kreacją, nie relacją – tym bardziej więc nie może być prymitywnym obrazowaniem. Nie powinno zatem dziwić, że odrzucam wulgarność na korzyść dobrego smaku, że stawiam intelekt ponad fizjologię, umiejętności ponad nieudolność. Jednocześnie uważam, że każdy może tworzyć to, co chce, niezależnie od tego, czy zawodowo pasie gęsi, czy wymyśla tomograf – ważne, żeby był z tego zadowolony. Jednak nie mogę zgodzić się na to, żeby pozbawieni narzędzi i planów półhumanisci wyszli chwiejnym krokiem prosto z dworcowego bufetu i budowali z fragmentów pijackiego widzimi się gmach katedry, w której – zanim runie – mieszkałyby i paskudziły wróble. Jest to niebezpieczne dla potencjalnych wiernych i przechodniów, obraźliwe dla Boga, demoralizujące dla wróbli.

Lódź, listopad 2010